

Polscy przemysłowcy w Indiach. "Obliczyli, że po powrocie będą mogli kupić sobie mieszkania"

Cezary Borowy

Młodzi, wykształceni, kreatywni i odrobinę beczelni w latach 80. uciekli z PRL-u, by wieść ryzykowne życie przemysłowców na "złotej trasie" Singapur-Indie. Dziś większość z nich żyje inaczej, można rzec: zwyczajnie, ale byli i tacy, którzy zginęli w indyjskich więzieniach. O nich i kulisach działalności ówczesnych polskich grup przemysłowych w Indiach opowiada książka Cezarego Borowego "Spowiedź Hana Solo. Byłem przemysłowcem w Indiach".

Siedzimy w kilka osób na kolacji w Niruli na Connaught Place w centrum. Przewija się tu dużo turystów, wydaje nam się więc względnie bezpiecznie. Po nalocie zniknęła dawna bez troska. Jest problem, chociaż ja akurat czuję ulgę, bo DRI, które wpadło dwa dni temu do Vishala, nie mnie szukało. Problem ma Prezes, bo jak doniósł nam Sarup, który dowiedział się tego swoimi kanałami, szukają dwóch Polaków, którzy uciekli z aresztu w Waranasi. A Prezes od czterech dni nie ma kontaktu z dwoma chłopakami wysłanymi z Katmandu właśnie do tego miasta. Mieli ze sobą elektronikę na wpis. Dawno powinni tu być, Karol i Radz. To był ich trzeci lot. Radz, trzydziestolatek, który niedawno został ojcem, chciał zarobić na mieszkanie w Gliwicach. Karol zbierał na samochód.

To muszą być oni, ale czemu ich szukają? Przecież mieli zgłosić towar na granicy, dostać wpis TBR i wracać pociągiem do Delhi. Może celnikom coś się nie spodobało w paszportach, zauważyli, że są naklejowane? Gdzie chłopaki teraz są, jak ich znaleźć? A może już ich złapali? Prezes drapie się po głowie, nie może im pomóc. Skoro uciekli i nie ma ich w areszcie, to gdzie, do diabła, są? Trzeba czekać, niestety

Ucieczka

To miał być zwykły, pewny lot bez emocji. Radz i Karol to była para przyjaciół, muzyków ze Śląska. Początkowo chcieli zatrudnić się u Prezesa tylko na kilka wrzutów, zarobić po tysiąc dolarów i wracać do kraju. Później obliczyli, że gdyby udało im się zarobić po trzy tysiące, to mogliby po powrocie kupić mieszkania w Gliwicach. Przylecieli z Katmandu do Waranasi z zestawem przewalacza, to znaczy kamerą National M7 i skrzynką plus drobnica. Klasyczna trasa na wpis do paszportu. Dlaczego więc po przylocie tego nie zadeklarowali? Może oznaczenia na tym malutkim, starym lotnisku były nieprecyzyjne? Może nawet się nie zorientowali, że wchodzi na zieloną?

Celnicy wyłuskali ich z tłumu i poprosili na bok. Wybebeszono im torby i z mordą, ostro do nich: "Czyj to sprzęt!?" Próbowali się ratować, tłumacząc, że nie wiedzą, że ktoś im podrzucił. Przesłuchiowano ich kilkanaście godzin. Cały czas strażnicy mierzyli do nich z długiej broni, tak długiej, że prawdopodobnie pochodziła jeszcze z XIX wieku. Późno w nocy zakończono przesłuchania i skutych zawieziono na posterunek policji. Zaprowadzono do pokoiku na pierwszym piętrze, rozkuto z kajdanek i zamknięto za chłopakami drzwi. Byli przekonani, że następnego dnia przewożą ich do więzienia. A cały czas mieli w głowie - jak my wszyscy wówczas - że więzienie w Indiach dla Europejczyka nieodpornego na amebę to śmiertelne niebezpieczeństwo. Z więzienia biały wychodzi nogami do przodu. "Musimy za wszelką cenę uciec, póki jeszcze nie jesteśmy za murami" - mówili przerażeni do siebie. Rozejrzeli się po pokoiku, podeszli do okna, okazało się zamknięte, ale nie zakratowane. O dziwo, udało im się w miarę cicho je otworzyć. Oczekali dłuższy moment, nic się nie działo, cisza, nikt do nich nie szedł. Uciekać, za wszelką cenę uciekać. Przełożyli nogi przez parapet i skoczyli. Tylko przytłumiony stuk rozległ się w nocnej ciszy, bo pod oknem była gęsta trawa. Nikogo to nie zainteresowało, zresztą chłopcy nie czekali na reakcję, tylko pobiegli w długą przed siebie, byle dalej. Radz opowiadał, że nigdy w życiu tak szybko nie biegł. Kierowali się do lasu, który gdzieś majaczył w oddali. Przestraszeni do granic desperacji, biegli, ciągle biegli w cichej nocy, a myśli biegły im jeszcze szybciej. Zmieniali się na prowadzeniu, ale biegli, najpierw do lasu, później przez las,

Zasnęli czy stracili przytomność, nie wiadomo, w każdym razie wybudziły ich ludzkie głosy. W odległości kilkuset metrów pojawili się dwaj miejscowi wieśniacy. Podeszli do nich, spojrzeli, uśmiechnęli się sympatycznie. Chłopakom adrenalina napłynęła do głowy, napięcie sięgnęło zenitu. Miejscowi zdjęli cynowe dzbany z głów, kucnęli obok i zaczęli coś do nich mówić w lokalnym języku. Radz wyciągnął resztki zmiętoszonej paczki papierosów, poczęstował przybyszów. Zapalili - to zawsze dobre na przełamanie lodów. Zrozumieli, że miejscowi dopytują, co tu robią. Karol szybko zaimprovizował, że ukryli się w krzakach, żeby obserwować życie małych, których kilka młodych akurat obok się bawiło. Indusom musiało wydawać się to bardzo głupie. To trochę, jakby chłop na Podlasiu w kępie olszyny spotkał

dwóch czarnych z Afryki, a ci na migi tłumaczyliby mu, że obserwują życie wron, które opodal siedzą na drzewie. No, ale Indusi słyszeli, że biali są bardzo dziwni, i ten przypadek tylko to potwierdzał. Wskazali im drogę w kierunku rzeki Ganges i odeszli do swoich zajęć. Chłopcy szli polami, zagajnikami w stronę rzeki, unikając zabudowań. W oddali zobaczyli dymy, jakby paliła się wioska. Podeszli bliżej, zobaczyli szeroką rzekę, a wzdłuż niej dziesiątki płonących ognisk. To musiał być Ganges, a ogniska to stosy kremacyjne. Przesiedli przy jednym z tych dogasających i starali się podsumować swoją sytuację. Była beznadziejna, nie mieli pomysłu, co dalej, nie jedli i nie pili od poprzedniego dnia. Nie rozmawiali dużo między sobą, powoli docierało do nich, że nie mają szans na przetrwanie. Postanowili policzyć, jakimi zasobami dysponują. Wytrząsnęli wszystko z kieszeni. Radz miał zegarek marki Tissot, a Karol złoty łańcuszek z Matką Boską. To wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

Oczywiście żadnego dokumentu tożsamości. Wiedzieli, że nie mogą zbliżyć się do miasta, bo tam ich na pewno szukają, a białych łatwo rozpoznać w tłumie. Głodni, zmęczeni siedzieli przy dogasającym stosie i nie mieli żadnego pomysłu, co dalej. Nie było widoków na zdobycie butelki wody, a dotarcie do kolegów w New Delhi wydawało się kosmicznym wyzwaniem. Picie wody z rzeki Ganges, do której wrzucano resztki ze stosów kremacyjnych, to była jednak słaba opcja. Siedzieli długo przy tym dogasającym ognisku, aż podszedł do nich młody człowiek z grupy lokalsów, która kręciła się przy sąsiednich ogniskach. Słabym angielskim cicho zapytał, czy czuwają przy zwłokach kogoś bliskiego. Wytłumaczyli mu, że są turystami i zabłądzili. Zaprosił ich do swojego ogniska. Poczęstowano ich tam ćajem, który wypili jednym haustem, nie zważając, że gorący. Dolano kolejną porcję i jeszcze jedną. To byli ludzie w podartych szmatach, ze skórą ogorzałą od palenia ciał, brudni, śmierdzący, ale ludzie, którzy ich przygarnęli i poczęstowali pożywным napojem. Kasta niedotykalnych, ale o nic nie pytających Indusów. Radz i Karol spędzili kolejną noc przy unoszącym się wokół mdłym, słodkim, duszącym zapachu palonych ciał. Następnego dnia szli brzegiem rzeki i zauważyli, że panuje na niej spory ruch, a część barek płynie w górę rzeki. A właśnie pod prąd powinni płynąć, żeby dotrzeć do New Delhi. W jakimś wioskowym porcie rzeczonym próbowali dogadać się z kapitanem, by zabrał ich na pomocników. - Ale co wy tutaj robicie? Znaie się na tej robocie? Nie potrzebuję z wami kłopotów. - Byliśmy w aśramie, a teraz chcemy się sprawdzić, czy potrafimy dotrzeć bez pieniędzy do New Delhi. Jeżeli się zgodzisz, to dam ci ten łańcuszek. - W Karolu obudził się instynkt przetrwania, zauważył szansę i postanowił walczyć. Kapitan wziął do ręki medalik, przybliżył do oczu i powiedział, że to katolicki symbol, a on jest hinduistą i nie chce takiego, bo ma inną energię. Czuje zło z tego złota. - To może chcesz ten zegarek? Jest bardzo drogi, w Europie można za niego kupić samochód. - Radz sam się zdziwił, jak sprawnie improwizował. Kapitana zainteresował temat, może spodobało mu się prowadzenie rozmowy handlowej na wschodnią modłę, może zlitował się nad nimi, w każdym razie powiedział: - Okej, szukałem czegoś na prezent. Wsiadajcie, płyniemy w kierunku Delhi, będziecie nam pomagać przy rozładunku i załadunku.

Siedzieliśmy w pokoju, patrzyliśmy na chłopaków z podziwem. Każdy przerabiał ich opowieść, zastanawiał się, co by zrobił na ich miejscu. Wszyscy jesteśmy tu, w Indiach, mocno zdomowieni, ryzyko i napięcie to nasza codzienność, ale tych dwóch naprawdę nam zaimponowało. - No, chłopaki, będziecie to wnukom opowiadać. Radz, który cały czas nawijał, teraz zamilkł. Po raz pierwszy odezwał się Karol: - Potraficie sobie wyobrazić, jak smakował ostatni papieros na dwóch, którego zapaliliśmy w kącie, na tej barce odbijającej od brzegu? To poczucie, że może naprawdę urwaliśmy się sforze goniących nas psów? Patrzyłem na nich i widziałem dwóch starszych panów. Mieli po trzydzieści lat, a wyglądali na pięćdziesiąt. Podczas tej ucieczki postarzeliby się o dwadzieścia lat.